

**ELIZA
ORZESZKOWA**

JULIANKA

Eliza Orzeszkowa

Julianka

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843734

Julianka:

Аннотация

Poruszająca nowela Elizy Orzeszkowej, w której autorka przedstawia smutny los sieroty, szukającej miłości wśród mieszkańców ubogiej dzielnicy dziewiętnastowiecznego Grodna. Juliankę znaleziono jako kilkudniowe niemowlę porzucone na ulicy. Dziewczynka tuła się od domu do domu. I kiedy już wydawałoby się, że odnalazła szczęście, a upragniony dom i rodzina są w zasięgu ręki, ludzka życzliwość, przyjaźń i akceptacja znów okazują się być ułudą. W tle losów Julianki Orzeszkowa nakreśla obraz ówczesnej sytuacji kobiet biednych, porzuconych, pozbawionych edukacji, po raz kolejny udowadniając społeczne zaangażowanie swojej twórczości.

Eliza Orzeszkowa

Julianka

Przy jednej z najskrajniejszych i najcichszych ulic miasta Ongrodu, znajduje się ogromne podwórze, z wysokim niegdyś, lecz w gruzy rozwalającym się, murem dokoła, z wysoką czerwoną ścianą wielkiej budowy w głębi. Monotonną powierzchnią starego i opustoszonego gmachu przerywają długie rzędy okien, pozbawionych szyb, więc ziejących ciemnością i pustką; wśród nich z rzadka tu i owdzie, w górze kędyś, lub nad samą ziemią, mętnie świeci szkło zielonawe, zwiastujące, że ruina ta udzieliła schronienia jakiemuś ubóstwu. Tu i owdzie także powoje i bluszcze wieszają po gzemsach i załamach muru zwikłane gałęzie, a z pośród szczelin wychylają się dzikie lewkonie z blado-żółtym kwiatem.

Gmach ten, wraz z otaczającymi go mniejszymi budynkami i leżącym przed nim ogromnym dziedzińcem, był niegdyś własnością i mieszkaniem pewnej możnej rodziny, poczem przez zbieg okoliczności przeszedł w posiadanie władz krajowych, które, nie czyniąc z niego użytku żadnego, pozwalają od czasu do czasu zamieszkiwać w nim, w zamian bardzo małej opłaty, ludziom biednym, tak biednym, że aż nielekającym się pustki téj i ruiny.

Przebywające tu niegdyś bogactwo pozostawiło ślady, które przetrwać zdołały dziesiątki lat. W czterech rogach

podwórza stare lipy ocieniają rozłożystymi gałęziami niezmierny gąszcz chwastów bujających wysoko i szeroko: z pomiędzy chrzanowych i łopuchowych liści wykwita tu i owdzie zdrobniały hyacynt, lub połyskuje wątła asterka, kolczate osty uginają się pod ciężką gałęzią zdziczałego bzu, lub w krzew głogowy zamienionej róży. Zresztą, gęsta trawa porasta dziedziniec, który nigdy brukowanym nie był, a gdy promienie słońca zaglądają do głębokiej sieni gmachu przez drzwi, od dziesiątków lat nie zamykane, widać migocące po ścianach jej spłowiałe barwy starych malowideł, a w katach jej leżące, pokaleczone i pajęczyną osnute odłamy posągów.

Mniej puste i smutne są budynki drewniane, stojące naprzeciw wielkiego gmachu, z oknami zwróconemi ku cichłej, wąskiej ulicy. Były-to niegdyś pałacowe spichrze i stajnie. Drewniane ściany ich, długie, niskie, zczerniałe od starości, zdają się znikać wobec przykrywających je staroświeckich dachów, wysokością swoją przenoszących kilka razy ich wysokość, śpiczastych w górze, szeroko rozpostartych u dołu.

Z cienia omszonych i daleko wystających gżemsów dachów tych wyglądają skromne okienka, nierówno, bo niżej i wyżej, osadzone w niskich pochyłych ścianach, niepodobne ze sobą rozmiarami i wyglądem, bo złożone z mniejszych i większych szyb, wprawionych w ramy z nowego żółtego drzewa, lub spróchniałe i kruszące się, stosownie snadź do stopnia zamożności żyjących za nimi mieszkańców.

Tu, nad samym chodnikiem, wązkim i śpiczastymi

kamieniami najeżonym, żydówka stara, niska i zgarbiona, w barwistym starożytnym zawoju na głowie, utrzymuje sklepik wiktuałów i przez okno, o sporych, lecz mętnych szybach, ukazuje przechodniom od lat już niepamiętnych rzędy serów stwardniałych, żółtych obwarzanków i różnokształtnych butelek z różnobarwnymi płynami. Tu szukają schronienia słudzy, chwilowo zostający bez służby; rzemieślnicy, nie mogący nigdy wybrnąć z ostatecznego ubóstwa, zamykają w ciasnych izdebkach liczne rodziny swe, a sami każdej prawie nocy budzą uliczne echa odgłosami nierównych stapań swych i pijanych okrzyków; tu w najlichszych i najciemniejszych kątach tulą się uliczni żebracy, i co wieczór napełniają wielki dziedziniec gwarem zawziętych kłótni o podział zdobytych groszy, a co rano rzucają nań chrypliwe tony pieśni nabożnych, które, z towarzyszeniem stuku koszturów i kijów uderzających o kamienie, dygocą i wloką się czas jakiś po cichój ulicy, aż milkną, tonąc w dalekim gwarze. Tu w rogu podwórza, kędy lipa stara opuszcza na gżems czarnego dachu wielkie swe gałęzie, odzywają się niekiedy słabe dźwięki fortepianiku ze staremi, brzęczącemi strunami, a z innój strony, z głębi wielkiej budowy o pustych oknach, wychodzi głośny i monotony turkot maglu, zataczającego od rana do nocy wielkie skrzynie swe, pełne kamieni.

Od czasu do czasu, gdy milknie ponury głos maglu w oficynie malutkiej, której niska biaława ściana do połowy prawie kryje się za szarą zielenią rozłożystych chwastów, ciszej lecz

weselój turkoce mała maszyna do szycia. Schylona nad nią szwaczka, z twarzą chudą i blademi oczyma, nie śpiewa nad robotą swą, jak to według opisów wszelkich czynić zwykły kobiety szyjące, lecz co chwila z niepokojem spogląda w okienko, przy którym siedzi, i głosem piskliwym, rozdrażnionym dlatego może, iż ze zmęczonej piersi wychodzi, wykrzykuje parę spieszonych imion dziecięcych. Właściciele imion tych są to drobne istoty, z bosemi stopami i rozczochranym włosom, które, w towarzystwie wielkiej liczby istot im podobnych, napełniają dziedziniec wrzawą krzyków, wesołych lub płaczliwych, lub tententem mnóstwa stóp drobnych, deptających twardey grunt dziedzińca w swawolnej gonitwie.

Rzecz dziwna! Ludność, zamieszkująca zakąt ten, zmienia się często, a jednak zawsze jest jakby tą samą. Gdybyś przez lat dziesiątki co miesiąc, co tydzień, codzień, zaglądał na ogromne podwórze, zobaczył-byś tu te same widoki i te same odgłosy posłyszał. Słudzy, czasowo bez zajęcia zostający, rozchodzą się ztąd w różne strony, aby na czas jakiś zamieszkać w pięknych kamienicach i ładnych dworkach miejskich, z których w zamian wychodzą mniej szczęśliwi ich towarzysze i tu przybywają; dziadowie i baby kościelne idą szukać dochodniejszej parafii, albo kłaść się na wieki po najuboższych kątkach miejskiego cmentarza; a ci, co przy pogrzebach ich zawodzili pieśni żałobne, stukają koszturami i kijami swemi po tych samych kamieniach, po których niegdyś stukali tamci: z bramy dziedzińca od czasu; do czasu wynoszą małe trumienki, zamykające w sobie martwe

ciała dziecięce, a za nimi grubijańscy ci i nierządni ludzie, którzy co noc budzą mieszkańców ulicy pijanemi okrzyki, postępują zwolna, ze zwieszonemi głowami i płaczą. Liczba drobnych istot z bosemi nogami i rozczochranym włosom, hasających po wielkiem podwórzu, nie zmniejsza się jednak, przez okno oficynki, nad gęstwiną chwastów, zamiast chudej szwaczki o wybladłych oczach, wygląda zarumieniona od ognia, z nagiemi, mokremi rękoma, praczka, i rozdrażnionym głosem przywołuje ku sobie swe dzieci.

Wszystko tu tak samo, choć wszyscy są inni. I tylko magiel, ten sam zawsze, co i przed lat dziesiątkiem, turkoce ponuro w głębi starego gmachu, i ta sama żydówka, mała i przygarbiona, kołysze starą głowę swą, obciążoną splotałym zawojem, za oknem, ubraném w obwarzanki, butelki i sery. Właścicielki maglu zmieniały się wiele razy, lecz on sam pozostał zawsze na dawném swém miejscu; starój żydówce dopomagały w handlu córki jój, potem wnuczki, a potem prawnuczki, lecz ona sama siedzi zawsze tam, gdzie siadywała przed laty i bezzębniemi usty rada jest opowiadać każdemu, kto słuchać zechce, długie i różne historye o wielkiem podwórzu, starym gmachu i wielu pokoleniach mieszkańców ich, które przesuwają się jój przed oczyma, niby szeregi cieniów coraz innych, a wiecznie jednakich.

U murowanej czerwonej i napoty rozwalonej bramy wielkiego podwórza tego, jedna z bab-żebraczek, która wczesnym rankiem zwlokła się ze swego barłogu, znalazła raz spoczywające na

ziemi, grubą chustą owinięte, przed kilku dniami na świat wydane dziecko. Ranek był ciepły, choć jesienny; szara, lekka mgła zwilżała chustę, okrywającą nieruchomo ciało, ale promień wschodzącego słońca osuszał ją i ogrzewał.

W kilka minut potem gwar niezwykle panował na wielkim podwórzu. Pośrodku podwórza stała stara żebraczka, w podniesionych nieco, łachmanami okrytych ramionach trzymając dziecko i ukazując je ludziom, otaczającym ją ścisłym kołem. Patrzano i dziwowano się; jedni oburzali się i ściskali pięści, inni wzruszali ramionami, marszczyli czoła i spoglądali w górę, jakby chcieli i mogli domyślać się, do kogo właściwie należeć mógł przedmiot znaleziony; był ktoś, kto rozśmiał się głośno i grubijańsko, i ktoś, kto grubą ręką otarł łzę z zaspanych jeszcze oczu. Rozbudzona gwarem rozmów i wykrzyków, nadeszła nawet ze sklepika stara żydówka Złotka i, spoglądając na dziecko przymrużonemi oczyma, kołysała przez chwilę głową na znak zadziwienia i żalu. Potem zwróciła się ku ludziom, stojącym dokoła i, pomarszczonym palcem ukazując dziecko, zapytała:

– A co wy z tym zrobicie?

Praktyczne to było pytanie, które jej pierwszej przyszło do głowy.

Radzono godzinę całą. Głos jakiś mężczyzny odezwał się trochę nieśmiało, aby dzieci znalezione oddać w ręce zarządu policyjnego, który niech tam sobie zrobi z niemi, co zechce, lecz, jako odpowiedź na to, podniosły się jednocześnie dwa, czy trzy

głosy kobiece, takie piskliwe i taki potok łąjących wyrzutów wylały na głowę wnioskodawcy, że wniosek ów, poparty zresztą przez innych biernym zaledwie milczeniem, upadł w zupełności.

- Nieboractwo!
- Biedny robaczek!
- Niegodziwa matka jakaś!
- Łotr ojciec!
- Wstydziła się...
- Albo to łotry tylko tak robią...

I znowu:

- Cóż z niem począć?

Praczką z małej oficynki rzekła pierwsza:

- A niechby sobie hodowało się tutaj!

Słowa te długo nie otrzymały odpowiedzi, aż po chwili dopiero właścicielka maglu, najzamożniejsza osoba z całej osady, spoglądając po wszystkich oczyma, które niespokojnie migotały wśród tłustej twarzy, zapytała:

- Niech-by sobie hodowało się! ale u kogo?

Milczenie powszechne trwało potem długo. Kilka osób zniknęło nawet z tłumu, spieszenie umykając ku swym mieszkaniom. Inni stali z opuszczonymi rękoma.

– A cóż? – ozwała się nakoniec stara żydówka – co tu długo gadać o tém? u kogo? niech będzie u wszystkich i koniec!

Zaledwie wymówiła te słowa, wyszedł z tłumu podstarzały mężczyzna, w ubogiej, długiej kapocie, i, zdjąwszy z głowy czapkę, oszytą baraniem futrem wyciągał ją giestem proszącym,

od osoby do osoby przechodząc. Był to rymarz, jeden z tych, którzy nigdy z biedy wybrnąć nie mogli. Twarz jego nabrzmiała i gorąco zaczerwieniona nie świadczyła dobrze o cnocie i przyzwyczajeniach jego, ale w tej chwili okryła się szczególnie rozrzewnionym wyrazem. Trząśł głową tak, jakby bardzo, bardzo litował się nad czémś, wzdychał a mętnemi oczyma mrugał filuternie, zachęcając niby, lub przymilając się.

– No! no! – mówił – cóż robić? cóż robić?

– Cóż robić? – powtórzono chórem dokoła.

Przygarbiona imość, w watowanej salopce i kapturku, nieukrywającym zupełnie siwych włosów, zbliżyła się do dziecka, popatrzała na nie przez okulary i pierwsza rzuciła w czapkę rymarza drobny srebrny pieniążek. Potém wyjęła dziurawą chusteczkę z worka, w którym było mnóstwo drobnych robótek z bawełny i włóczki, otarła nią sobie oczy i podreptała na miasto, gdzie, od domu do domu chodząc, rozprzedawała nędzne i tanie wyroby starych rąk swoich.

Do czapki rymarza upadło następnie kilkanaście miedzianych monet; otyła właścicielka magła rzuciła w nią dumnym giestem banknot rublowy i odeszła ku wielkiemu gmachowi ze wspaniałą postawą i zwolna, bo, idąc, przysłuchiwała się okrzykom zdziwienia i rozczulenia, które w gromadce obudziła wielka jej wspaniałomyślność.

Dawcy darów tych większych i mniejszych, zaraz po uiszczeniu się z tego, ku czemu pobudziła ich litość, lub próżność, odchodzili; niebawem na środku podwórza zostało

troje już tylko ludzi: żebraczka, trzymająca wciąż dziecko, rymarz z czapką w ręku, na której dnie znajdowało się trochę pieniędzy, i kobieta z bosemi stopami, nagiemi po łokcie ramionami, w krótkiej spódnicy i jaskrawej chustce na roztarganych włosach. O kilka kroków dalej stała jeszcze stara żydówka ze sklepu, która wciąż odchodziła, wracała i mruzczała wciąż niezrozumiale do siebie, w ziemię patrząc.

– No! imość! bierz to sobie, bo mnie już ręce bolą od trzymania i do kościoła na mszę świętą pora! – zagadnęła żebraczka i wyciągnęła ku stojącej przed nią kobiecie ramiona, trzymając dziecko.

– Imość karmisz teraz robaka swego, – dodała.

Kobieta z bosemi stopami skinęła głową, na znak jakby determinacji powziętej i, nic nie mówiąc, wzięła dziecko z rąk żebraczki.

Wtedy rymarz wysypał do fartucha jej znajdujące się w jego czapce pieniądze, a stara żydowica, zbliżywszy się, na ucho jej mruzczała:

– Niech dziecko to będzie u imości, a ja już co miesiąc zbiorę u ludzi tyle pieniędzy, ile ich tu teraz jest, to imości oddam. Już jak ja zbierać będę, to one zbiorą się, bo do mnie każdy zagląda i interesu ze mną ma.

Rzekłszy to, zwróciła się ku rymarzowi:

– A teraz może na kieliszeczek? co? Jegomość?

Rymarz ręką niechętnie rzucił, ale, jakby z przyzwyczajenia, nierówno stąpając, powlókł się za Złotką do otwierającego się

właśnie jój sklepiku.

Jednocześnie magiel zaturkotał, porwane struny fortepianu zabrzęczały, zawrzeszczały dzieci, wylatujące z krzykiem ze wszystkich drzwi domowstw, dziadowie i baby, stukając koszturami o kamienie bruku, zawiedli pobożne pieśni, westchnęła przy słabo płonącym ognisku żona rymarza, wychylającego w sklepiku pierwszą, lecz nieostatnią w dniu miarkę trunku, i wszystko na wielkiem podwórzu starego gmachu weszło w codzienny zwyczaj i ład.

Tak więc pierwszemi ramionami, które Juliankę podjęły z ziemi i ukazały ludziom, były ramiona żebraczki, owinięte w brudne, strzępiaste łachmany. Pierwszy zaś obraz, który dostrzegła ona oczyma, budzącemi się do rozpoznawania przedmiotów zewnętrznych, przedstawił jój niską izdebkę z szaremi ścianami i ogniskiem, szeroko płonącym w kominie z czarną głębią.

Z balii, ustawionój na stołkach pośrodku izby, podnosiły się gęste, szare wyziewy i ciężkimi kłębami czołgały się w powietrzu, aż ku grubym wykrzywionym belkom niskiego sufitu. Nad balią pochylała się kobieta w krótkiej spódnicy, z wielkimi bosemi stopami. Twarz jój niewiele mniej czerwoną była od chustki, okrywającój roztargane jój włosy, a spływał wciąż po niój kroplisty pot utrudzenia; ocierała go rękawem grubój koszuli, zawiniętym aż po łokieć, poczem znowu nagie ramiona swe zanurzała w wodzie, pieniącój się rozpuszczonóm w niój mydłem. Niekiedy zbliżała się do ogniska i rzucała w płomienie

ciężkie duszki żelazek, albo odejmowała od ognia kocięł z gorącą wodą i dźwigała go ku balii, stękając z cicha.

U nóg pracującej kobiety téj siedziało lub pełzało drobne dziecko; dwoje innych, chłopak lub dziewczynka, wbiegali do izby i wybiegali z niéj z tententem nóg bosych i hałasem swawoli lub płaczu. Chłopak silny i z twarzą ponurą choć śmiałą, ile razy wbiegał do izby, zarzucał ramiona na szyję matki i całował głośno oba rozognione a wilgotne jéj policzki; dziewczynka chwytiała na ręce najmłodsze dziecko i skakała z niém po izbie, śpiewając. Gdy dzieci wybiegły, słychać było znowu tylko plusk wody w balii, trzask ognia i od czasu do czasu stękanie lub gniewne jakieś, niecierpliwe, mruczenie praczki. Czasem przestawała ona na chwilę pracować i szemrać, wyprostowała się i, z brodą wspartą na dłoni, stała nad balią nieruchoma, szklistym wzrokiem patrząca kędyś – w młodość swą minioną, a może jaśniejszą, w terażniejszość ciężką, czy przyszłość swych dzieci.

Gdyby ktokolwiek bywał wtedy w izbie owéj, dostrzegł-by jeszcze małe dziecko, na-pół nagie, bo grubą, bardzo krótką koszulą okryte, siedzące w kątku izby za stojącą tam wielką, rozstrzępioną miotłą. Suche i kolczate gałęzie miotły, za każdym poruszeniem się dziecka, strzępiły mu gęste włosy coraz wyżej i wyżej, lecz ono spoglądało z za nich na wijące się płomienie ogniska, na iskry z nich tryskające, na wyjmowane z ognia duszki żelazek, tak rozpalone, że iskrzące się szkarłatem i złotem, na rozmydloną wodę, wylewającą się z balii i ciekącą po podłodze pianistemi strumieniami, na dużą deskę do prasowania, której

koniec jeden piętrzył się śnieżną już i wygładzoną bielizną, i napół-otwartą szafę z głębokiem ciemnóm wnętrzem. Kiedy ogień palił się szeroko i złocisto, z trzaskiem wesołym, dziecię uśmiechało się spokojnie i nieruchomo; gdy rój iskier tryskał z niego w górę, a grad rozżarzonych węgli wylatywał z komina, padając aż na środek izby, śmiało się ono cichym, lecz długim i neutulonym śmiechem. Niekiedy blask ognia dosięgał kątką, w którym siedziała dziewczyna, złocąc twarz jój śniadą i powierzchnią czarnych oczu, wtedy wyglądała ona z za rozeg miotły wesoło i figlarnie; lecz gdy przygasły płomienie, kryła się w mroku i tylko widać było dwie nóżki nagie i chude, nieruchomo wyciągnięte na chropowatěj desce podłogi.

W południowych godzinach chłopak i dziewczynka wbiegali do izby i z wesołemi krzykami czepiali się spódnicy matki, która odejmowała od ognia garnek z żywnością. Siadali na ziemi i z misy, stojącěj na ławie, jeść poczynali. Wtedy – w kątku, gdzie stała miotła odzywał się szelest. Nagie chude nóżki poruszały się i przebywały izbę w kierunku dzieci jedzących i jadła; w wędrownce těj dopomagały im tóż z razu i drobne ręce, poznaczone czerwonemi szramami, okryte tu i owdzie silnemi piętnami oparzenia kipiátkiem lub ogniem.

Zaledwie jednak dziecię dosięgło kresu swěj podróży i wyciągało rękę ku łyżce drewnianěj, którą praczka nieodmiennie kładła na ławie obok tych, któremi jadły jój dzieci, starszy chłopak uderzał je łyżką swą po głowie, czole, lub plecach, poczém śmiał się głośno, a ono coprędzěj, ze zwinnością kota,

kryło się pod ławę. Kobieta wołała czasem na syna gniewnie i krzykliwie:

– Pozwól jój jeść!

Czasem nic nie mówiła, zapatrzona w ogień lub w głąb' balii. Mała córka jój trzymała w ramionach mniejszego od siebie braciszka i ze śmiechem, z pocałunkami, wlewała mu w usta ostudzoną starannie strawę; od chwili do chwili wyjmowała z krupniku kartofle i rzucała je pod ławę, gdzie chwyciło je i zjadało przytulone do ziemi dziecko, a najstarszy chłopiec, pochylając się, zaglądał ku niemu, i śmiejąc się, wołał:

– Julianka! na tu, na! chwytaj!

O szarej godzinie praczka dawała dzieciom po kawałku chleba; Julianki nie omijała. Jeżeli pilnej nie miała roboty, gasiła ognisko i przy świetle małej świeczki łojowej szyła, cerowała, łątała pstrą i lichą odzież. Dzieci spały; niekiedy jednak ze snu budziło je szybkie poruszenie matki, zrywającej się ze stołka. Robota jój spadała z kolan na ziemię, a ona, stojąc nieruchomo z przechyloną głową, wsłuchiwała się w głosy, przylatujące do wnętrza izby słabém jeszcze echem, bo z daleka, kędyś z ulicy.

Były to odgłosy chrapliwej pieśni, męzkim, basowym głosem wyśpiewywanej, a przerywanej bezładnemi wykrzykami lub wybuchami pijanego śmiechu. Echa te zwiastowały zbliżające się przybycie ojca rodziny, który w różnych domach miejskich pełnił służbę kucharza.

Człowiek ten nieczęsto odwiedzał rodzinę swą; żona jego zapracować musiała sama na siebie i na dzieci; ile razy przecież

chrapliwy śpiew jego ozwał się na ulicy, kobieta rozpoznawała go uchem wprawném, a zanim dziedziniec zatętniał pod ciężkimi jego stopami, przebiegła izbę niespokojnie, wzrokiem błyszczącym i ruchliwym szukając najtajemniejszego kąta, w którym ukryć-by mogła trochę miedzianej monety, owiniętej w płócienną szmatę.

W kilka chwil potem wielki hałas podnosił się w izbie. Był to gruby krzyk męskiego głosu, a wtórował mu piskliwy, ostry, zanoszący się wrzask kobiecy, z razu pojedynczo, potem z towarzyszeniem pisków, jęków i szlochań dziecięcych.

Julianka budziła się nagle i wnet zaczynała drżeć na całym ciele. Szeroko roztwartemi od trwogi oczyma patrzyła jednak przed siebie, po-przez suche gałęzie przysłaniającej ją miotły. Wtedy, przy mętném oświetleniu łojówki, widywała wysokiego, barczystego mężczyznę, podnoszącego pięść i opuszczającego ją na plecy kobiety, która wydobywała z piersi swój przeraźliwą gamę krzyków, i rzucała gwałtownie ramionami, usiłując ciosami odpłacić za ciosy; widywała, jak ogromna ręka mężka chwyciła splątany warkocz kobiecy, i dopóty w dół go ciągnęła, dopóki kobieta nie runęła na ziemię, wijąc się u stóp mężczyzny z wściekłości i bólu; jak starszy chłopak, broniąc matki, rzucał się na ciało jej pod stopy ojcowskie i, podnosząc twarz swą zuchwałą a rozżarzoną, ciskał ku ojcu z iskrzących się oczu niezawistne spojrzenia; jak młodsze dzieci z trwogi wielkiej spadały z matczynego łóżka na ziemię, drżały i szlochały; jak następnie mężczyzna znajdował pieniądze, ukryte przez kobietę

kędyś za belką sufitu lub w głębi komina, i odchodził, rzucając drzwiami, aż drżały wątle ściany izby, a kobieta, po odejściu jego, z ciężkością dźwigała się z leżącej postawy, siadała na ziemi i, z twarzą ukrytą w czerwone dłonie, płakała głośno z razu, a potem tak cicho, że można było prawie słyszeć, jak łzy jęj strumieniem wielkim spływały na podartą spódnice, okrywającą drzące jęj kolana.

Na wszystko to spoglądało, wszystkiego tego słuchało dziecko, siedzące w najciemniejszym kąciku, a słuchając i patrząc, tuliło się coraz mocniej do ściany, albo rękoma obejmując miotłę, przyciskało ją do siebie przerażonym giestem.

Raz jednak, wśród jednej ze scen podobnych, zmartwiła całkiem z trwogi. Spojrzenie wysokiego, barczystego mężczyzny padło na ciemny jęj kątek. Było-to spojrzenia oczu wypukłych, czarnych, groźnie pałających śród ogromnej, ponuręj twarzy. Dziewczynka, spotkawszy się wzrokiem ze spojrzeniem tém, zmartwiła całkiem, i niewyraźnie, bardzo niewyraźnie słyszała, jak mężczyzna zapytywał kobiety o pieniądze, które **ludzie** płacą jęj za podrzutka, i jak kobieta odpowiedziała z krzykiem, że dawno, dawno nikt jęj za utrzymanie jego nic, nic nie płaci, bo ludzie, którzy płacili wprzódy, wynieśli się z tego podwórza, a nowi słuchać o nim nie chcą.

Wtedy mężczyzna postąpił ku ciemnemu kątkowi, a Julianka zamknęła oczy i czuła tylko, że silna ręka pochwyciła skraj grubęj jęj koszuli, że niesiono ją tak przez chwilę, i rzucono na ziemię przed drzwiami domu. Potem już nic nie widziała i nie

słyszała, tak zupełnie, jakby spała głęboko.

Gdy otworzyła oczy, cisza głęboka panowała dokoła, nagie nogi jój pogrążone były w trawie, zwilżonej deszczem, a mokre zielska chłodnym dotknięciem muskały szyję jój i plecy. Dziecię drząc zaczęło znówu i lękać się bardzo. Czego? nie wiedziało samo. Wszystkiego zapewne. Grubego głosu ludzkiego, który brzmiał mu jeszcze w uchu, ciężkich obłoków, sunących nisko pod dżdżystym niebem, mokrych chwastów, które, jak zimne gadziny pełzły mu po nagiem ciele, gałęzi drzew, które w szarym zmroku, poruszały się i szemrały, nakształt widm czarnych, wiodących z sobą ponure rozmowy.

Wśród ciemności tej i wszystkich tych strasznych dla niej przedmiotów, przed oczyma Julianki błysnęło w dali jedno samotne światło. Było to bledziutkie, drobne światełko, drgające w małym oknie, umieszczonem w rogu podwórza; po długim też wahaniu wstała z ziemi, i powoli bardzo, bo ogarniał ją wciąż strach nadzwyczajny, i drobne jój stopy plątały się wśród zielsk, wysokich a mokrych, poczęła dążyć ku mdłemu światełku.

W rogu podwórza znajdowała się izdebka, mniejsza jeszcze i niższa niż ta, którą zajmowała praczka ze swą rodziną, ale wcale inaczej wyglądająca. Tam ściany i sufit czarnymi prawie stały się od dymu i pyłu, tu zachowały one swą przedwieloletnią białość, bo starannie snadź chroniono je i czyszczono; tam od nieustannie płonącego ogniska powietrze było gorące, upalne i duszne, tu panował ciągle chłód przejmujący i nasiąkły wilgocią, albowiem w piecyku małym i kruszącym się w gruzy nigdy prawie zjawił

się ogień. Izdebka ta mieściła w sobie stare bardzo łóżko z pościelą tak szczupłą, iż niemal jej widać nie było, skrzynią drewnianą, przykrytą rozpadającym się w szmaty dywanikiem, stół trochę kulawy, lampkę z długim kopcącym kominkiem, watowaną salopkę, wiszącą na ścianie, wielki czarny krzyż nad łóżkiem, i – starą, małą kobiecinę, która, siedząc na skrzyni, przy świetle lampki robiła siatkę z bawełny.

Była to istota drobna i niziutka, z plecami przygarbionemi i ciałem wyschłym. Ubrana była w wytarty, watowany szlafrok, niesięgający ziemi, na głowie nie miała nic, oprócz rzadkich siwych włosów, nierównemi pasmami opadających na plecy jej i czoło.

Pochyliła twarz nisko nad robotą swą, a małe, pomarszczone jej ręce szybko poruszały iglicą i kłębkami. Przytém mówiła wciąż do siebie przyciszonym pół-głosem, ale, mówiąc, poruszała daleko mniej ustami wklęsłemi i tak prawie białemi, jak twarz cała, niż czołem, którego liczne zmarszczki podnosiły się wciąż w górę, to opadały, przybliżały się ku sobie lub rozbiegały, tak zupełnie, jakby tajemniczemi znakami opowiadały komuś niewidzialnemu długą jakąś, zadziwiającą historią.

Nagle malutka siwa pracownica ta podniosła głowę. Powieki jej, czerwono świecące z za wielkich szkieł okularów, mrugać poczęły. U niskich zamkniętych drzwiczek ozwał się cichy szelest. Umilkł i ozwał się znowu.

– Wszelki duch Pana Boga chwali! – wymówiła kobieta. Nie

było odpowiedzi. Podniosła rękę do czoła, jak-by przeżegnać się chciała, lecz u drzwi zaszeleściło mocniej i dało się nawet słyszeć bardzo ciche jakieś jęknięcie, czy łkanie.

Wstała i, nadstawiając ku drzwiom ucha, głośniej zapytała:

– Kto tam?

Za drzwiami cichutki głos odpowiedział:

– Julianka.

Gdyby głęboka cisza nocna nie panowała dokoła, stara kobieta nie usłyszała-by głosu tego, tak był on cichym. Było to westchnienie raczej, niż głos. Usłyszała i niechętnie rzuciła ręką. Wzięła jednak lampkę i, idąc z nią ku drzwiom, gderliwie mruczała.

– A że też te dzieciśka nigdy mi spokoju nie dają! We dnie mi urwis ten kamień przez okno rzucił, a teraz oto, śród nocy, przychodzi tu...

Otwierając drzwi mówiła jeszcze, coraz to głos podnosząc:

– Czegóż włóczysz się nocami?...

Tu umilkła i, lampkę swą nisko trzymając, patrzyła ku ziemi.

W drzwiach ukazała się i u progu nieruchomo stanęła Julianka. Nagie nogi jój, widzialne do kolan z pod krótkiej koszuli, drżały i uginały się pod nią, bujne krople deszczu gęsto osypywały włosy jój i twarz.

Stara kobieta, milcząc już, drzwi zamknęła i wzięła dziecko za rękę.

– Czego ty tu przyszłaś tak późno w nocy? – zapytała.

Długo nie było odpowiedzi. Po chwili dopiero dziecko

odpowiedziało z cicha:

– Wyrzucili.

– Aha! – przeciągle rzekła kobieta i, usiadłszy na kufierku swym, patrzyła na dziecko.

– Wyrzucili cię! – powtórzyła, – a któż cię wyrzucił?

– Pan! – odpowiedziało dziecko.

– Pan! to znaczy Jakób, obrzydłe pijaczysko to, co tu po nocach takie hałasy wyprawia. Bił żonę? co?

– Bił! – potwierdziło dziecko i zaszlochało.

– No proszę! bił znowu! a to kiedyś kryminalista będzie z niego, ani chybi! a ciebie wziął i tak bez ceremonii za drzwi wyrzucił, na deszcz, chłód i noc! Zkąd-że ci znowu przyszło do głowy przyjść do mnie? Ot, pewno dlatego, żem ci tam onegdaj chleba odrobinę dała. No, a chcesz teraz mleka?

– Chcę, – głośniej daleko, niż wprzód, dziecko odrzekło.

Stara pochyliła się i wydobyła z pod stołu mały garnek, przykryty papierem. Podała go dziecku.

– Wypij połowę, – rzekła, – a resztę ja jutro sama na śniadanie wypiję. No, – dodała, – i tobie też dam trochę!

Dziecię piło chciwie, lecz gdy dosięgło połowy zawartości garnuszka, stara mu go z rąk odebrała i znowu schowała pod stół.

– Czegóż tak trzęsiesz się cała, jak-byś miała febrę, hę? czy ci zimno? Czy to innego oddzienia nie masz, tylko ot tę koszulinę? – pytała się stara.

– Nie masz, odpowiedziała Julianka.

– No, to już ja ci z pewnością nie dam, bo mi ot też ostatni

łachman drze się na plecach. Tylko tam jeszcze jest jakaś szmata...

Ściągnęła z łóżka chustę dużą, podartą, istną szmatę, i owinęła nią, spowiła w nią prawie, dziecko. Potem zaprowadziła je do kąta, pomiędzy piecem i ścianą.

– Teraz usiądź tu, albo połóż się i śpij. Ot! chustkę mi tylko moją zabrałeś i nie będę miała czém okryć się w nocy... chyba tym oto szlafrokiem... no, śpij spokojnie... Jakób tu nie przyjdzie.

Julianka usiadła, ale, pomimo zmęczenia się, nie usypiała, lecz patrzyła na nową opiekunkę swą, która siedziała znowu na skrzyni, robiła już swą siatkę i wciąż mówiła:

– A ja tu jeszcze kawaleczek siatki zrobię... nie późno... nie późno... jedenasta godzina nie była jeszcze na farnym zegarze, a do jedenastej trzeba zawsze robić siatkę, nie co innego... włóczkowe roboty robią się w dzień, bo oczy więcej męczą... oj! oczy! oczy uciekają!

Westchnęła i spojrzała ku kątkowi, w którym siedziało dziecko.

– Nieboractwo! ten drańgal Jakób do kryminału kiedyś pójdzie, a i syn jego kryminalistą będzie, ani chybi! jabłko od jabłoni... Kamienie mi tu śmie rzucać przez okno! Patrzcie go! gdyby tak trzydzieści lat temu, kazała-bym mojej służbie złapać łotra i dobrze go skarcić... moja służba! oj! była kiedyś, była! ale już dawno jój niema! ktoby się był spodziewał...

Przy ostatnich wyrazach fałdy czoła jój tak podniosły się w

górze, jakby ogarnięte były niezmierném zdziwieniem, a pasma siwych włosów żałośliwie opadały na nie.

W tém, kędyś, w dalekim środku miasta, kościelny zegar wybijając począł godzinę. Stara kobieta wyciągnęła w górę cienki, biały palec, i liczyła:

– Raz! dwa! trzy! cztery!

Gdy wyrzekła jedenaście, zegar bić przestał. Wstała i składać począła swą robotę.

– Dawniej siedziało się do pierwszej i do drugiej po północy w salonie... z gośćmi... Salon! oj! oj! był kiedyś, był! ale dawno go już niéma... jest za to ta oto klitka!... kto-by się, był spodziewał!

– Zdjęła okulary i mrugała powiekami. – Żeby tak dawne oczy moje, wyszyła-bym dywan taki, jak był ten, co przed kanapą moją kiedyś leżał! Ot, wzięła-bym za niego pieniędzy gmach, ale oczy... oj! oj! są jeszcze, są, ale już uciekają... a jak do reszty uciekną...

Tu nietylko zmarszczki czoła jój poruszały się żwawo, ale i głowa cała trząść się zaczęła, tak zupełnie, jak gdyby przepowiadała, że coś strasznego, okrutnie strasznego stać się musi, gdy oczy do reszty uciekną.

Gasząc lampkę, szeptała: „Kto się w opiekę poda Panu swemu”, a potem, wśród ciemności, kładąc się na zaledwie przykrytej słomie, wymówiła jeszcze parę razy:

– Kto-by się spodziewał? kto-by się kiedy tego spodziewał!

W kątku, pomiędzy piecem a ścianą, gorączkowo i niespokojnie śpiące dziecko zaszepotało:

– Wyrzucili!...

Nazajutrz Julianka, wnet po otwarzeniu oczu, zaśmiała się głośno i srebrzyście. Co obudziło śmiech jój? Któż wie? to może, co sprawia, że o dnia brzasku śpiewają ptaki, i że złoty owad wesoło brzęczy, wieszając się w zaraniu na promieniu słońca.

Promień wschodzącego słońca zaglądał w okno izdebki i ślizgał się po siwych włosach małej staruszki, która, drobne, suche ręce swe nabożnie splotwszy, przez małą szybę patrzyła ku górze i pół-głosem mówiła: „Ojczy nasz, któryś jest w niebie”.

Usłyszawszy śmiech dziecka, powiedziała: „Amen, “ i odwróciła twarz ku izdebce.

– Obudziłaś się! – rzekła, – spałaś dobrze? ciepło ci było?

Juliance ciepło było i dobrze w spowiciu, urządzone m ze starój, grubój chustki. Siedziała więc chwilę jeszcze w kątku swym, podobna do małej, nieruchomój mumijki, z błyszczącymi oczyma i śmiejącymi się ustami. Potem zerwała się żwawo i, ciągnąc za sobą chustę, która, rozwinawszy się, przykrywała już tylko jój plecy, biegła i wyciągała ręce do podawanego sobie przez starą kobietę garnuszka.

– Napij się mleka, ale i mnie trochę zostaw! – rzekła stara.

Julianka piła; z wyrazu oczu jój znać było, że dziwiła się bardzo temu, iż pije rzecz tak smaczną.

– A teraz ja! ot, widzisz, to całe moje śniadanie. Połowę go oddam tobie, niech ci na zdrowie służy! dawniej pijałam herbatę, kawę, albo czekoladę, ale bardzo dawno temu. Teraz kontenta jestem, kiedy mam trochę mleka. Kto-by się był tego spodziewał!

No! niema co! człowiek bywa na wozie i pod wozem! ja na wozie już byłam, spadłam z niego i nigdy już więcej nie będę; ale ty może jeszcze będziesz, kto wie? mała jesteś, życie przed tobą. Tymczasem nie masz innego odzienia, jak tę oto koszulinę, z której dawno wyrosłaś. Kolana ci z pod niej widać, pfe! to nieskromnie. Trzeba mi tam dla ciebie wyprosić sukienkę jaką starą u moich znajomych państwa.

Mówiąc to wszystko, mała staruszka wkładała na siebie watowany swój zrudziały szlafroczek, i siwe włosy okrywała dziurawym nieco czepcem z białego muślinu.

– Bo widzisz, ja mam dużo znajomych państwa, którym roboty moje sprzedaję... ot tak, chodzę od domu do domu i sprzedaję... po schodach mi ciężko, a na dziedzińcach tych znowu, gdzie jednopiętrowe domy, stoją psiska szkaradne, rzucają się na mnie i drą odzież... jeden mię nawet w nogę ukąsił... opuchła cała i tydzień potem chodzić nie mogłam. Czasem to i gburzyska, te lokaje albo kucharki, łają mię i odpędzają, krzycząc na mnie: żebraczka!... Kto-by się był tego spodziewał!

Szklisto-błękitne oczy jój z za szkarłatnych powiek spojrzały kędyś daleko, daleko w przestrzeń.

– Żebraczka! żebraczka! a jaka to ja żebraczka jestem! alboż nie pracuję? albo to moje roboty nie piękniejsze od tych, co po sklepach na wystawach wiszą? Serwety, kołdry, antolarze, patarafka robię i robić będą, dopóki oczy nie uciekną... ot już, gdy uciekną...

Głowa jój zatrzęsała się znowu tak, jakby się czegoś bardzo nagle przelekła, a zmarszczki na czole rozbiegły się w różne kierunki w wielkim niby popłochu.

Podniosła chustkę swą, która z ramion dziecka upadła całkiem na ziemię i, zarzuciwszy ją sobie na plecy, głowę okryła czarnym kapturkiem.

– Teraz, – mówiła, – idź ty sobie na dziedziniec: Ja iść muszę na miasto i drzwi zamknę. Nad wieczór możesz przyjść znowu do mnie. Mleka napijesz się i przenocujesz. Obiadu ja w domu nie jadam, bo ot, widzisz, że piec rozwalił się i zapalić w nim nie można. Chodzę sobie tedy do jednej kobieciny poczciwój, która kominek ma. Ja daję parę groszy, ona daje parę groszy, i przystawiamy sobie do ognia garnuszek z krupnikiem albo z ziemniakami. Kiedy roboty mam dużo, siedzę w domu i jem na obiad obwarzanki, rozmoczone w wodzie... Kto-by się był spodziewał!... No, idź-że już na dziedziniec, bo drzwi zamykam, a przychodź nad wieczór, może i przyniosę ci z obiadu mego krztę jakiej żywności...

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.